

# ZUGZWANG

NINETTE NERVAL

Nad Odeonem wylaniał się paskudny krzykliwy billboard z napisem: A czy Ty jesteś gotów umrzeć za swoją tożsamość skonstruowaną w pięć minut, wyhodowaną na kompleksie Agamemnona i późnomodernistycznym resentymentem, Byciu w świecie, bełkocie starego nazisty, zapytaniu, czyli tym, co stoi ZA pytaniem? To, co nie jest aporią, nie jest warte sporu, nie jest *frag-würdig* – warte, godne pytania. Dobrze wiedział, że prawdziwe pragnienie jest niezaspokajalne, to, co upragnione, nie dopełnia go, nie znosi, ale przeciwnie – wzmaga. Najszlachetniejsza *ex contingentibus* (z rzeczy przygodnych) w przyjętym sposobie niebycia – być niejako swoją przeszłością, dokonywać destrukcji „ja” lekką ręką hazardzisty, który wie, że jego postanowienia o zaprzestaniu gry zostały unieważnione. Unicestwiać swoje wczorajsze „ja”, czyniąc je przedmiotem swojej wnikliwej uwagi, spełniając potrzeby nienasyconej publiki. Jego nieustające upadki w codzienność i złudzenia, będące dla dorosłego tym, czym zabawa dla dziecka, niczym wynalazek niemiecki *Auseinandersetzung* – „rozprawa”, ale nie tyle „z kim” i „z czym”, ile „o co”. I w takiej rozprawie idzie o to, by maksymalnie ukazać wszystkie racje „drugiego” – nie na korzyść „pierwszego”, lecz na uciechę „rzeczy samej”. Weźmy na przykład taką ulicę, ulicę jako przestrzeń rozerotyzowania – nieustanne przenikanie się spojrzeń, dotyków, smaków w ich transcendującej immanencji, stanowiącej całość cielesnej tkanki świata. Świadomość chce stać się ciałem i tylko ciałem, wślizgnąć się weń. Spojrzenie wyzwala namiętność, histerię, wstyd. To pod wpływem spojrzenia innego, stanowiącego katalizator wzmagający w podmiocie pragnienie obiektu, osiągał świadomość własnej seksualności. Ulica była pusta, dało się jednak usłyszeć kroki. Nad kimś, kto czuje się śledzony, ciąży imperatyw, by rzucić się do ucieczki tylko po to, aby zaspokoić atawistyczne potrzeby nienasyconej publiki. Zniknął w Rue Malebranche. Spojrzenie innego nie dawało wytchnienia, osaczała go przestrzeń odbitych spojrzeń, które śledzą. Ten, kto widzi, może osiąść widzialne, tylko jeżeli sam jest przezeń posiadany, jeżeli do

niego należy (*s'il en est*)<sup>1</sup>, jeżeli, z zasady, zgodnie z tym, czego wymaga związek spojrzenia i rzeczy, jest jednym z bytów widzialnych, który wskutek szczególnego odwrócenia staje się zdolny do widzenia ich; on, który jest jednym z nich – jak mawia pewien znany francuski fenomenolog. A czy Ty jesteś gotów umrzeć za swoje prawo do powagi i patosu? Były to pytania dezorientujące przeciętnego Niemca. Cała kultura niemiecka była umocowana na powadze będącej przemocą nienegocjowalności tego, co a priori. Powaga filozofii niemieckiej była powagą grobową, obejmującą wszystkie teorie nieprzejednane, wszystkie niewzruszone pojęcia przymocowane na wieczność do swoich desygnatów niczym solidne, nieprzesuwalne niemieckie meble. Ciężar miał w sobie coś wybujałego, zachęcał do dekonstrukcji. Najsilniejszymi atrybutami powagi były rzeczy związane z kapitałem i filozofią – banki i uniwersytety niemieckie to instytucje powagi. Kapitał to sfera powagi, myśl Kanta to sfera powagi. Nawet zdrowie społeczne było w Niemczech sferą powagi! Niemcy z ich ekonomicznymi programami eutanazji, patosem niewinnych na pozór praktyk mierzenia głowy, badaniami, definiowaniem pojęcia rasy, tabelami żydowskości wzorowanymi na tabelach groszku Mendla, niemiecką koncepcją czystości i brudu, architekturą czystą, purystyczną, bez ozdób, patetycznym gestem wykluczenia za pomocą architektury. Cała przestrzeń różnorodności schwytała w paradygmacie tożsamości i niezmiennego Jednego. Wreszcie język niemiecki to sfera powagi. Patos tkwi w języku! Krępujące myśli ratio i logos niemieczyzny: „Czy nie jest niedorzecznością mówić, że nie rozumiemy sensu diagnozy? – Cóż, można by odpowiedzieć: lekarze nie są zupełnie bezradni wobec tej diagnozy. Wypróbują przynajmniej pewne metody diagnozowania; w tej mierze zaś, w jakiej wypróbują pewne metody, rozumieją tę diagnozę. – Ale czy rzeczywiście? Czy nie rozumieją jej tak kompletnie, jak tylko można ją rozumieć?”<sup>2</sup> – pisze największy niemieckojęzyczny filozof XX wieku.

Jak każdy dandys miał w sobie dozę melancholii i poczucie utraty, ślad powagi. W Paryżu wszystko, co święte, ulegało profanacji, szybkość życia, prędkość zdarzeń i estetycznych zanurzeń w tym mieście wypłukiwała treść. Pieniądz ślizgał się po kontuarze i światłowodzie. Muzykę poważną zastąpił nowoczesny szwindel ekstemporyzatorów na syntezator i taśmę. Całe miasto rozdygotane i rozgadane w geście nihilistyczno-ulicznogówniarskim, nie cierpiał zbierającej się w kawiarniach w celu zbiorowej gadaniny *chattering class*. Czuł się romantykiem żyjącym zgodnie z rytmem – uwielbiał rzucać się w strumienie życia, które podsuwało mu miasto; pasáže i bulwary, z których wylewał się cały chaos; miasto, w którym nazwanie kogoś „plugawą dziwką” było równoznaczne z oskarżeniem o bycie-w-bycie. Sam żył w mieszkaniu, które było kompletnie improwizowane. Nie inwestował w nic przekonany, że za chwilę wszystko się skończy. To nadawało egzystencjalnej powagi tej prowizorce. Czy za powagę tej prowizorki byłbyś gotów poświęcić swoje życie lub choćby czas, nerwy i pieniądze?

W tym mieście – jak pisał Marks – „wszystko, co stałe, wyparowywało”, *gravitas* rozmywało się w ironicznych pasażach, Nietzscheński „duch ciężkości” ulatniał się ku formom autodestrukcyjnie wybujałym i przelotnym, nieudanym wakacjom w Limoges, które miały być wakacjami na Riwerze, płytom Yves'a Montanda, warsztatom samochodowym

<sup>1</sup> *S'il en est* wydobywa ów moment bycia, tego, że przynależenie jest jedno w drugim. W polskim „należeniu” to „jest” już nie brzmi, bardziej słychać właśnie posiadanie, własność.

<sup>2</sup> UPM VI, 13.

między Montparnasse a Levallois, instruktażowym folderom o szumnych nazwach: „Co to jest rewolucja?”, służącym do nagrywania płyt kabinom przy Gare du Nord, automatom do robienia zdjęć, w których przeintelektualizowane dziewczęta znające się na Bergsonie i Sartrze, ale niemające pojęcia o życiu, ponieważ rodzice trzymali je pod kluczem, pokazywały cycki za 15 tysięcy franków, a piękni młodzi kontestatorzy puszczały się w rozmaitych formach wybujałego indywidualizmu z lewakami, którzy słuchali amerykańskiej muzyki, palili boyardy, ciesząc się życiem bez przeszłości i bez przyszłości, instruowani telefonicznie zapośredniczeni przez żydowski Brooklyn, jedyni, którzy potrafili odpowiedzieć na pytanie o to, „czym jest rewolucja?”, nie odwołując się do pojęć ucisku klasy robotniczej.

♦♦♦

Pogoda była zwodnicza, ciepłe letnie powietrze niosło w sobie pewien niepokój, czuł się, jak gdyby znowu miał 13 lat i szykował się na pierwszą randkę. Upał był nieznośny, miasto zatopione w falującym asfalcie, niebo malowane różowością, amarantem; zaszedł już w okolice gnijącego brzegu Sekwany. Ubrany był dość niezobowiązująco, jasna marynarka, spodnie w prążki, jaśniejsze, do tego lniany kapelusz, lubił czasem wetknąć sobie gałązkę jaśminu do kłapy. Właśnie tak wyglądał, gdy powietrze było nieświeże, a słońce prażyło coraz agresywniej. Przy Pont Neuf miał wysuszone śluzówki, a już przy Pont Saint-Pierre ludzie przypatrywali mu się bardzo wymownie. Nie znosił słońca prawie równie mocno jak mleka, jednak nie liofilizowanego, acidofilnego, makrobiotycznego, lecz gorącego, spienionego mleka, gnijącego mleka w grubych, jędrnych, żyłastych, unerwionych piersiach bezdzietnej matki natury, wlewanego siłą do gardeł wrzeszczącym niemowlętom, zaklejającego im żołądki, niedającego się strawić, niepozwalającego się wydalić, matki, która zawsze chce podświadomie zabić swoje dłubiące w kożuchu z mleka dziecko. Odkąd pamięta, kożuch zawsze kojarzył mu się ze śmiercią. Natłok myśli doprowadzał go do obłędu, przyprowadzając o mdłości. Gdyby tylko można było dla odmiany zdać się na piekło czystej fizjologii, zaprzęgnąć lędźwie choćby do gry w tenisa, dla równowagi, byleby tylko móc zaangażować całą swą fizjologię.

W szpitalu wszystko natychmiast uległo odwróceniu. Z niemożliwą obsesyjnością każdego dnia poświęcał kilka chwil na to, by badać gramatykę szpitalną. Nie było w niej żadnych luk, kłopotliwych wyjątków, owych *cas particuliers*, gramatycznych fikcji, którymi dręczono dzieci w szkołach elementarnych podczas nauczania języków kultury Zachodu. Strategię szpitalną trafnie oddaje myśl Wittgensteina, który w pierwszej części *Dociekań* pisze: Pierwsza i trzecia osoba a publiczne punkty odniesienia. Kiedy ktoś pyta go: Jak wyglądał Blahy podczas operacji Phillera? Odpowie się: Wyglądał na zirytowanego i przejętego. Dysponował różnymi deskrypcjami psychologicznymi na temat całkiem obcych ludzi. Mówiąc to, przypisywało się Blahy'emu pewien stan mentalny. Ale nie jest on ukryty przede mną. Poza tym mówię jednak o tym, jak wyglądał. Z fikcją gramatyczną ma się także do czynienia wówczas, gdy posługujemy się zwrotami w rodzaju: rozumieć, wiedzieć, znać. Nie krył się za nimi żaden stan mentalny, jak w znajomości reguł szachów. Kiedy Gaspar Philler mówił, że go boli, to nie opisywał zupełnie niczego. To wyrażenie zastępowało rzeczywisty płacz, było wykrzyknikiem. Lekarze w tym szpitalu musieli umieć operować przepuklinę, wrywać zęby i zelować buty, koncentrowali się na czystym wyglądzie, nie uwzględniając bynajmniej wywiadu

pacjenta. Wyniki badań otrzymywał, jak można by się spodziewać, nie pacjent, ale lekarz prowadzący, choremu pozostawiając nieskończone oczekiwanie na wyrok. Istnieją podstawy, by sądzić, że bycie lekarzem przypominało udawanie idioty, bo bynajmniej nie potrzebowali oni dostępu do umysłu pacjenta, ponieważ wszystko, co było im niezbędne, zawierało się na zewnątrz, przejawiało się w wyglądzie gotowe do opisu. Można by rzec, że wiązka przypadłości w zupełności wystarczyła, aby dogrzebać się istoty jego choroby! *War selbstverständlich!* Choroba umysłu mogła, zdaniem lekarzy, przyjmować rozmaite postaci: hebefreniczną, katatoniczną lub paranoiczną. Behawioryzm, naturalizm, empiryzm. Wiedza o własnym ciele stanowiła niewątpliwie narzędzie władzy. Dopóki Karl Klipschmeier nie miał pojęcia, co dzieje się z jego ciałem, dopóki introspekcja nie działała, był dla siebie obiektem zupełnie niedostępnym. Wiedzę na temat stanu jego ciała, a więc i władzę nad nim, posiadał abstrakcyjny aparat medyczny. Można powiedzieć, że łatwiej było poznać innych niż samych siebie. Prof. Otto von Klug przekonywał przy każdej okazji: „Wiedza jest zbiorem zdań, a nie przekonań. Nie można powiedzieć: Wiem, że mnie boli. Gdyby tak móc zająć się od tyłu, przyłapać, nakryć *en flagrant delit*, zapamiętać naraz wszystkie zapachy i słowa, fascynację Owidiusza Neronem, Heideggera Hitlerem, schwytać w pęta! Sophia zawsze łaknie *phronesis*, dowodem na to świr purytański Glen Gould wwiercający się w krzeselko w trakcie Webernowskich wariacji!”. Było w tym sporo racji. On sam zauważył, że kompletnie nie potrafił się w sobie rozeznąć od wewnątrz. Związana z ciałem zmysłowość zasłaniała przeżycia, ciało zinternalizowane – gdy jego i cudze ciało przez dotyk widziane było w perspektywie eksternalistycznej jako ciało wspólne. Kiedy tak rozmyślał nad nieuchronnością rozwiązania ostatecznego, nadużyty przez System Zakładu Leczniczego Karl Klipschmeier oddawał krew i mocz do badania, aby następnie poddać się opresyjnym szpitalnym procedurom dyscyplinującym ciało, z radością przyjmował wlewy dożylnie i domięśniowe.

♦♦♦

W drodze do gabinetu zabiegowego zatrzymał go domagający się uwagi widok noszy wygiętych pod ciężarem nagiego męskiego ciała, dotkniętego potężnym wodogłowiem. Pewne było, że to prawdziwy człowiek, nie zaś papierowe zwłoki. Zza półprzeźroczystego parawanu straszły wypełniające przestrzeń szpitalnej spalarni przepelnione funkcjonującymi w patologicznej przestrzeni zwichniętej symetrii i arytmetyki zabaw w doktora, amputowanymi chorymi organami, w dużej mierze odciętymi kończynami kosze. Ze ścian wykrzykiwały plakaty pogładowe informujące, że od pewnego czasu na oddziale 7F prowadzono badania przydatności przeziemiączkowej ultrasonografii dopplerowskiej w ocenie dynamiki wodogłowia u noworodków i niemowląt leczonych wszczepieniem zastawki komorowo-otrzewnowej. Świat został więc odwrócony, nie była to już jednak rzeczywistość danej, zewnętrznej struktury i znaczenia. To, co wewnętrzne, nieustannie mieszało się z tym, co zewnętrzne, na gruncie chorego ciała dochodziło zaś do najgwałtowniejszych przemian. Nieoczekiwanie znaczenia wyłaniały się nie tyle z samych przedmiotów, ile raczej ze związków zachodzących między nimi. Każdy zdrowy i obdarzony wyobraźnią nieszczęśnik czuł, że w jakiś bezlitosny sposób tragedia ta zamienia się w koszmar. Tamtego popołudnia spodziewał się, co zobaczy w komórce za uchylonymi drzwiami. Nawet nie drgnął, gdy jego oczy spoczęły na obiekcie. Stał więc zwrócony twarzą w kierunku pojemnika, w którym znajdował się *objet-trouvaille*, czlonki jak relikwie.

Klipschmeier był, jak wiadomo, poważnie chory, na oddziale nie było nikogo bardziej chorego niż Karl Klipschmeier i chorobą prowadzącą do zniszczenia. Karl Klipschmeier i jego upadający rozkład. Przyglądanie się mu za każdym razem oznaczało upadek oglądającego, było pewną formą tyle uciążliwej, co niesmacznej zabawy estetycznej. Philler nie był mniej chory od Karla Klipschmeiera, podobnie jak wszyscy pacjenci oddziału, a także lekarze, nie byli mniej chorzy od Karla Klipschmeiera. Przyglądanie się mu było najlepszym sposobem na utwierdzenie się we własnej chorobie. Pacjenci traktowali swoje ciała jako granicę między tym, co wewnętrzne, a tym, co zewnętrzne. Choć z wyraźną pewnością w górnych rejestrach Karl Klipschmeier kontrolował porządek tego, co na zewnątrz, brak mu było świadomości własnego wnętrza, co próbował skrzętnie ukryć, umacniając swoje granice, modyfikując powierzchnię ciała, tak aby ubiec skoncentrowanych na intensywnym penetrowaniu, poddanej ich sile zaludnianej ciałami przestrzeni oddziałowej lekarzy.

Tego dnia Klipschmeiera czekało badanie neurologiczne. Pan powinien mieć oczopląs w lewą stronę do chorego ucha, tymczasem na siłę stara się pan robić oczopląs do zdrowego! – narzekał lekarz. Istotnie, Klipschmeier, którego naczelnym pragnieniem było zachować symetrię półkul i irracjonalność decyzji, miał problem z dominacją prawej części swojego ciała nad lewą. Najwyraźniej sprawa dotyczyła przetwarzania multisensorycznego – lewa półkula, przetwarzająca informacje o wysokiej częstotliwości (analitycznej), nie potrafiła skorelować się z prawą (holistyczną) o częstotliwości niskiej. Klipschmeier, który służył z tendencji do nadużywania systemu medycznego, ponieważ nadużywał wszystkiego, czego można było nadużywać, zaliczył już niemal wszystkie szpitale w Niemczech – był stałym bywalcem kilku oddziałów państwowych, sanatoriów, a także placówek prywatnych. Pozostając w zażyłych stosunkach z kilkunastoma lekarzami, bez problemu dostawał recepty na specyfiki o najbardziej wymyślnym składzie oraz skierowania na najbardziej skomplikowane i prestiżowe zabiegi. Można powiedzieć, że bezpiecznie czuł się tylko w obecności personelu szpitalnego. Wakacje również spędzał w placówkach medycznych, będąc stałym bywalcem miejscowych psychiatryków, leczonym wywoływanym sztucznie za pomocą elektrostrząsów snem, a także sporymi dawkami litu, insuliny, rtęci oraz preparatami bizmutu. Regularnie aplikował sobie przemywane na oddział benzodiazepiny i inne specyfiki przynoszące ulgę w cierpieniu. Bez wątplenia były to „wiktoriańskie naleciałości”. Jednak wyglądało na to, że Klipschmeier, który jeszcze tej wiosny przedawkował weronal, tym razem nie miał pojęcia, co go właściwie czeka.

Prof. dr Otto von Klug – to osobliwe nazwisko stanowiło niepodważalny dowód twierdzenia, że nazwa własna użyta we właściwy sposób jest po prostu skrótową, czy też utajoną, deskrypcją określoną. Na deskrypcję, która kryła się za nazwiskiem von Klug, składało się kilka interesujących detali: udawany szklarniowy Meklemburczyk, były austriacki akwizytor, prywatnie pedantyczny drobiazgowy nudziarz, który nie mając wykształcenia lekarskiego, był ordynatorem kliniki psychiatrycznej i wystawiał ekspertyzy dla sądów przysięgłych; choć przechwalał się znajomością wielu języków, to słuchając go, nie było właściwie wiadomo, czy właśnie mówi po angielsku, niemiecku czy francusku. Można powiedzieć, że fakty opisane w deskrypcji wiązały się z osobą Otto von Kluga nie mocą przypadku, ale definicji. Jeśli przyjąć, że von Klug miał do ludzi stosunek materiałoznaw-

czy, ludzie pokroju Weissa stanowili w jego rozumieniu zapewne materiał trzeciego rodzaju. Z czasem na drzwiach gabinetu człowieka, który był gorącym zwolennikiem założenia komitetu obrony kanibalizmu recesywnego, zawisła tabliczka: „Chefarzt Kinder – Rehaklinik Karlsruhe”. Wszyscy w końcu zrozumieli, powtarzał uparcie von Klug, że kanibalizm jest jeszcze jednym z przejawów bogactwa natury homo sapiens. Dystrybucja białka ludzkiego, nikomu już niepotrzebnego, będąca pod kontrolą medyczną, uchroni jego konsumentów przed zakażeniem AIDS. Może rozwiązać problem nadmiernego zagęszczenia populacji, jak choćby pobieranie organów ze zwłok. Zjawisko to występuje w społecznościach, w których mit stworzenia nie jest dość abstrakcyjny. Oczywiście wyobraźni widział von Kluga zjadającego Weissa kawałek po kawałeczku, przeżywającego kęs po kęsie, trawiącego, żeby wreszcie wydalic produkty wymiany metabolicznej.

Nazajutrz rano dopadła go fenomenologia ciała własnego – pobrano mu krew, okazało się, że drętwienie kończyn miało swoje uzasadnienie. Lekarze zdiagnozowali u niego anemię. Konieczna była transfuzja krwi. Von Klug sam wypisywał skierowania do siebie, sam do siebie rejestrował pacjentów. W uzdrowisku na sali telewizyjnej oglądano relację z wizyty głowy obcego państwa, pewien facet rzucił Berlusconiemu w twarz miniaturę katedry mediolańskiej wielkości garnka do gotowania mleka, wybijając prezydentowi dwa zęby. Hindus za największe bluźnierstwo uznawał stwierdzenie o istnieniu jednego Boga. Deus u św. Tomasza, używane w ogólnym i nieokreślonym sensie, oznacza wielu bogów, jest więc nazwą ogólną, nie zaś deskrypcją. Potężne brzmienie, gęste i pełne. A zarazem precyzyjne i przejrzyste. Ciężka, ciemna masa materii przechodząca w jasnego, przezroczystego ducha. Dionizos stający się Apollem. JEDNOŚĆ w postaci zagęszczania otaczającego go powietrza dają przecucie tego samego Bycia, o którym Heidegger pisał, że jest światłem (materia i antymateria). Ciemne jądro o niskich częstotliwościach i wydalone z niego światło. Jak brzmi światło? Światło o niskich rejestrach przebijające z jądra ciemności!